

KAZIMIERZ KALINOWSKI.

Z oparów krwi

Powieść dyktowana przez autora w transie.

(Prawa przedruku, przekładu i przeróbki zastrzeżone).

11)

A narodziła się pieśń w smutny poranek... w mgłach z nad Tamizy... w alejach uroczego parku...

...I rozwiała się w kraju tysiąca jezior...

...I przepadła nad Newą... w kolumnach marmurowego pałacu.

...O, bo ten, którego szukała pieśń miłości – zimny był, jak kolumna marmurowa.

...I odnalazła go na szerokiej, bezbrzeżnej fali Wołgi... I snuła się za nim... jak cień... tygodniami... po wytwornych salonach pływających...

...I rozwiała się... jak mgła poranna w nadwołżańskich sadach...

...I szukała go jeszcze wśród barwnych kamieni Uralu... i grała mu tam wszystkimi kolorami tęczy obrazy mozaikowe bajecznej miłości.

...Aż z bólu zastygła – i skamieniała jak cudna gemma...

...I odtąd uleciawszy na dalekie brzegi Gangesu, postanowiła już nigdy nie wracać do niego poprzez padół ziemski...

...Ale błękitnym eterem zalata w jego strony i skrzydłem ducha o struny harfy miłosnej trąca...

...A wtedy pieśń gra – inaczej, niż grywała...

Piotr słucha, oparty o białe posłanie Klaudyi. A nad nim harfa śpiewa pieśń miłości i w sercu jego budzi jakąś strunę, której nigdy sam nie dotknął.

Wtem pod wpływem pieśni Ady, Klaudya oczy otwiera rozbudzona – i na swym białym posłaniu przysiadła i pyta:

– Czemuś tak smutny, Piotrze?

A Piotr, na Różyczkę wskazując, odpowiada:

– Żal mi jej... strasznie mi jej żal...

– To Marya – powiada Klaudya.

– Marya? – pyta Nelin.

– Zbudź ją... i zapytaj. Zbudź śpiącą... niech ci sama powie.

Wpatrzył się Piotr w rysy Różyczki i oczy podniósł na Maryę. Długo wzrok jego błądził z jednej twarzy na drugą – i porównywał.

– O, tak! jak mogłem nie poznać odrazu.

Miał spytać Maryę, gdy wpadli czerwoni i uprowadzili ich z sobą.

Po drodze zbierali innych z domów nędzy. A brali tylko tych, co niegdyś byli zamożni.

Nie brali innych, jak tylko takich, co mieli jeszcze ręce białe... palce delikatne... dłonie bez odcisków...

I w takie ręce wtykali to miotły, to łopaty. A batem świszcząc w powietrzu, poganiali gromadę przed sobą.

Szli ulicami bez końca...

– Gdzie się podziały parkany?

– Gdzie przepadły ganki domów... schody?

– Gdzie zniknęły całe budynki drewniane?

– Jak to, nie wiecie? A czemu bylibyśmy palili w piecach?

– A sklepy?... czemu wszystkie zamknięte?

– Sklepy? wszak nad nimi tylko puste sklepienie... więc po co je trzymać otworem...

– A te fabryk kominy, czemu dymić przestały?

– Spójrzcie do środka... ruina wam odpowie.

– A te pałace bez szyb w oknach?

– A te gmachy wielkie w ruinach i zgłiszczach?

– A te zakłady, martwe jak groby?

– Te biblioteki zamienione w stajnie?

– Te teatry rozwalone... rozgromione...

– Co się tu stało?

– Gdzie się stąd życie podziało?

– Wymarło.

– A ludzie... gdzie są ludzie?

Bicz świsnął głośniejsze w powietrzu i gromada żywych wśród pustki ruin pędzona, powlokła się dalej.

– Do roboty! – huknęła komenda, gdy się znaleźli na ogromnych pustych placach, od których wiał dech Śmierci.

Piotr się zachwiał, ale go Iza podtrzymała. Julian się też poiknął, przytomność tracąc, ale go Marya ocuciła.

Łopaty wypadły im z rąk. Ale strażnicy wełknęli je z powrotem w dłonie i do pracy zapędzili pospołu z resztą ich towarzyszy.

– Więc ci wszyscy ludzie są tutaj – szeptało sobie ze zgrozą.

– A czyż nie wiecie, że w mieście przez długie miesiące rządził Tyfus... Więc wszystkich na mroz bez litości z domów powyganiali... i tu zapędzili...

– Tak... tak...

– Ja widziałem co noc wozy... całe wozy kalwakady... A na każdym wozie ciał ludzkich stosy...

– Tak... ja w tej stronie mieszkalem... i także co noc widziałem...

– Mówiono, że po tysiąc na dobę...

– Policzcie teraz... ile miesięcy zimy...

– A toż cała góra ludzkich ciał.

– Mróz trzymał miesiącami... Nie trzeba było lodowni.

– Pewnie... kłóżyłby nadszedł grzebać te tysiące...

– Do roboty! – huknęła nowa komenda.

Bat świstał w powietrzu, po ramionach smała. Straż zgorzogniona nie dawała rozmawiać. Zapędzano do roboty z łopatami.

A ci, co pracować mieli, zaczęli się chwiać... i slaniać... i oczy podnosić w górę...

Niebo nad nimi wisiało brudną chmurą.

– Gdyby to słońce widziało – mruknął ktoś starszy i westchnął.

– Spójrz, oko słońca... na tę górę... zimną, jak lód... a taką życia pełną.

– Spójrz, Słońce! – wydarło się sio westchnięcie i uniosło w chmur oponę... rozdarło ją na poły... i do Słońca dotarło.

Drgnęły zamrożone ciała, zaczęły się poruszać... jedne z drugich zsuwać... rozpręzać... to kurczyć... dźwigać się i walić jedne na drugie...

Piotr krzyknął. Chciał uciekać, lecz go Iza zatrzymała.

Cała góra ciał ruszała się teraz, jako ten śnieg tający z wiosną.

Krzyk powstał wśród tych, co w rękach mieli łopaty. Jednym języły się na głowach włosy, innym z czaszek oczy na wierzch wyłaziły – szalone od strachu.

A inni padali na te ciała z twarzą tak bladą – jako tamci – i ruszać się przestawali.

Znowu Piotr chciał rzucić się z miejsca i schronić przed tym widokiem, lecz kroku zrobić nie mógł, bo te trupów stosy, co nagle ożyły wkoło niego, trzymały go zewsząd i nie puszczały...

Ten nogami zaplątał się w jego nogi, a ten chwycił go rękami... tamten runął mu głową w brzuch... ów palcami przejechał mu przed oczy.

Aż jęknął Piotr i poderwał się z miejsca. Ale już się przewrócił...

Jał się gramolić. Lecz wszystko, czego się tknął, dziwnie było śliskie.

Już nowe ciała, zsuwając się jedno przez drugie, zwały się na niego... drogę mu zagrażały... i nie puszczały... nie puszczały...

– Puśćcie mnie – darł się głośno, lecz na usta runęła głowa trupa i tak mu je zatkała, że się zaczął dusić.

Z wszystkich sił strącił z siebie kilka ciał i tratując je bez miłosierdzia po twarzach, zaczął uciekać, by się uwolnić od tego wojska trupów, co go więziło... mroziło... dławilo...

– Puśćcie mnie! – krzyczał coraz głośniejsze. Lecz Iza zatrzymała go uciekającego i krępować go chciała...

Już jej się wydął znowu... już miał umykać, gdy mu z powrotem zastąpiła drogę i szamotała się z nim rozpaczliwie.

Odepchnął ją z wszystkich sił i rzucił się przed siebie. Lecz się poślizgnął i runął.

Uczuł, że upadł w jakąś kałużę krwi i przełknął się jeszcze bardziej – niżli wprzód stosił trupów.

– Krew, krew! – krzyczał – ratunku, bo mnie krew zatopi.

Lecz w tej chwili otworzył oczy, zobaczył przed sobą bladą twarz Izy i zajrzał wprost w jej oczy zielone. Ocknął się.

Pomagała mu wstać, osuszała go z wody... i co żywo osłaniała płaszczem jego ciało w bieleńcu... A potem zawlokła go i z powrotem na posłanie ułożyła, okryła i ukołysa chorego do spokojniejszego snu...

Właśnie Julian wrócił z Maryą, więc mu ją swoje przygody opowiadać.

– Ale to już dziś będzie przesilenie – rzekł Alferow.

– No, takiej gorączki jak dziś, nie miał biedak jeszcze przez cały czas tyfusu... Wiesz, Maryo, że myślałam w ostatnich chwilach, iż mu rady nie dam... tak mi się na dwór wyrывał...

– Tak... to już dziś ostateczna walka – mruzczał Julian do siebie. – Kryzys... Życie lub śmierć.

– A serce jego słabe... słabe – szeptała Marya.

X.

Węzły mistyczne, co się dokoła dusz ludzkich opłota, mocniejsze są nad związki krwi i trwalsze niż serc połączenie.

A właśnie takie węzły mistyczne poplątały misternie ten dziwny związek dusz, jaki z sobą stanowili Piotr Nelin z Izą, Maryą i Julianem Alferowem; a przez Izę – z Edwardem i Zygmuntem, przez Juliana zaś jeszcze z jego córką; a wreszcie przez Klaudyę – z matką jej, Adą.

Była to rodzina, która pełniła posłuszenie wolę swego przewodnika, a temu na imię było: Duch.

Życie Izy na długo przed tragiczną katastrofą było wielce uduchowione, lecz obcować cudownie ze światem ducha z tamtego brzegu życia – zaczęła dopiero w chwili, gdy przed nią stanął krwawym widmem Zygmunta, on, który jej ducha na skrzydłach harmonii jeszcze przed śmiercią wwiódł w świat ducha – pospołu z Edwardem, który słowem głębokim poezji mistycznej ukazywał Izie zaświaty w najponętniejszych barwach.

Nic to, że duch Edwarda, w pierwszych chwilach gwałtownego oderwania się od ziemi, męczył się żalem przyziemnym; że nie mógł od razu wznieść się wysoko ponad krwi własnej opary.

Mocny był jego duch widocznie, skoro mu tak niewiele trzeba było czasu, by się otrząść ostatecznie z tych chwilowych pożądań powrotu na padół.

Przemógł wszystko – i zwycięsko uleciał, by wraz z Zygmuntem płynąć już nad ziemią – jako ich pieśń płynęła.

I oto dziś oni obaj – aczkolwiek tak niedawno w skorupie ciała ziemskiego męczyli się i nękali – już mocni są duchem i moc z siebie promieniować mogą; moc, zdolną tworzyć cuda w oczach ludzkich.

A powolnym narzędziem ich potężnej ręki ducha stała się oto Iza – i przez nią całe ich bractwo.

Nazajutrz po ocaleniu rzeźbiarza od rozstrzelania, liczne komisje przebiegały ruiny i zgłiszcza i zarośla nadrzeczne, by odszukać, odnaleźć tego, co straszny, tego, co przeszkadza wypełniać wyroki czerwonej władzy; by wysłedzić, co za upiórzyca błąka się tam po nocy i żołdakom zjawia w mrokach...

Bo wśród czerwonych gwardzistów, wśród straży więziennych, wśród komisarzy, skorych do własnoręcznego rozstrzelania – odrazu poszła legenda o tych upiorkach na miejscu kaźni nad brzegiem rzeki...

Na przyszłą noc nikt tam nie poszedł rozstrzeliwać. Zało szpiegowała tam straż do białego dnia.

Nie odkryto niczego.

Ale kiedy na noc następną kilku zbirów powiodło ze sobą gromadę posłusznych żołdaków, z rozmysłu na to samo miejsce, by stracić trzech starców, pięć kobiet i dwoje chłopiat – powróżyło się coś podobnego do owej sceny, kiedy miano tracić Izę.

Bo oto naraz kurcz chwycił za rękę wszystkich z karabinami w dłoni – w tym samym momencie, gdy mieli kurki odwozić do strzału.

Stali przez chwilę jak porażeni w miejscu. I znowu byliby przysięgli, że widzieli, jak między łufami karabinów a szeregiem skazańców przechadzała się biała upiórzyca.

Komendant ekspedycji powtórzył rozkaz kilkakrotnie... raz za razem... ale nadaremnie. Salwa nie padła.

Kazano wszystkim skazańcom uciekać – do kąd im się podoba.

Odtąd rozstrzelano już gdzieindziej.

Tam nocami nie padał już ani jeden strzał. Ale wśród tych, co byli najbliższymi czerwonych katów, opowiadano sobie dalej, jak w różnych wypadkach coś niepojętego stało na przeszkodzie w rozstrzelaniu.

Gdyby był kto spytał o to Izy, jaki był związek między tem wszystkiem a nią samą, nie umiałaby dać wyjaśnienia.

A jednak na rozmowach swoich z duchami Edwarda i Zygmunta słyszała, że dzieją się z nią teraz rzeczy dziwne, dla ludzi cudowne.

(Ciąg dalszy nastąpi).